Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. **No. 52.** Leszno, dnia 30. Czerwca 1837.



Bojki.

Obrazek powyższy wystawia chłopów z górnych okolic obwodu stryjkowskiego (dawniéj województwa ruskiego, ziemi halickiéj) od mieszkańców innych obwodów, dla ich gnuśności

szyderczo **Bojkami** t. j. wołami czyli bujakami nieruchawemi (?!) nazwanych.

Przebywają oni najwięcéj we Lwowie dla sprzedaży zsobą przywiezionych owoców, które z własnych ogrodów zbierają, albo w Banii, w mieście na Węgrach, kupują; jako to: śliwki, gruszki suszone, orzechy włoskie i laskowe, kasztany i winogrona; mydło węgierskie także przywożą do Lwowa.

Ubiór Bojka stanowi siermięga kafowa z grubéj *) wełny, lub kożuch z białych baranków, pod to, krótka koszula, ledwo do pół goleni dochodząca, **soroczką** zwana, na sposób węgierski wyszyta, którą przepasuje pasem skórzanym, na trzy całe szerokim, a u niego zawiesza nożyk (cygan), woreczek na pieniądze i narzędzia do fajki, **kalitką** zwane. Tę soroczkę opuszcza na płócienne, a zimą wełniane **hołosznie** to jest spodnie szerokie, dlatego tak nazwane, że się na gołe ciało wdziewają. Obuwie stanowią kurpie skórzane, **chodakami** zwane, do pół łytki rzemykami przypasane. Na zimno okrywa się białym kocem wełnianym, wzdłuż, pasami różnéj barwy ozdobionym; głowę kuczmą z czarnych baranów w górze zwężoną, lub kapeluszem węgierskim.

Nosi wąsy, poczytując je za osłonę nosa od mrozu: doszedłszy zaś do lat 60, zapuszcza brodę, nabywając tém prawa do szacunku u całéj gromady. Młodsi do golenia brody nie potrzebują wcale brzytwy; lada kawałek ostréj kosy służy im za narzędzie do oskrobania włosów, trochą wody bez mydła odwilżonych; a golarz dosyć odbiera nagrody, gdy ofiara jego milczy i w największą uzbraja się cierpliwość. Głowę postrzyga Bojak, a na wierzchu pozostałe włosy, w tył zaczesuje. Wzrostu jest zazwyczaj dobrego, włosów ciemnych, twarzy bladéj, przytém ogorzałéj; słowem charakter jego, ruch i wyraz twarzy, jest tak oddzielny, że sceny jego pożycia mogą być godnym przedmiotem pendzla jakiego narodowego Teniera.

Trzyma się obrządku grecko-katolickiego, mówi narzeczem ruskiém, pana swego nie lubi jako ciemiężyciela, różnowiercę i innym językiem mówiącego nienawidzi. Stoi jeszcze na niskim stopniu oświaty, mnóstwu zabobonów hołdując. W tych przesądach od niektórych kapłanów, a osobliwie od djaków (sług kościelnych), którzy ze swoim pożytkiem najwięcéj role wróżbitów odgrywają, utrzymywanym bywa. Księży zaś, chcących go odwieść od tych błędów, Wiedeńczykami zowie, i jako małowiernymi nowszego wykształcenia ludźmi pogardza. Do wady jego także należy zbytni nałóg pijaństwa.

*) Ubioru z sukna ten chłop nie używa, twierdząc, że przez toby się wynosił nad równość swych współmieszkańców, gdyż sukno u ludu téj okolicy jest znakiem obfitości i bogactwa: mniema także, że prędzéjby na siebie ściągnął uwagę złodziei.

Dobrą stroną Bojka jest narodowi naszemu właściwa gościnność, którą tak szanuje, że ostatniego szczątku przychodniowi gotów udzielić. Przypadki nieszczęśliwe, smutki sąsiada, kuma lub znajomego, stara się podzielać, a w chorobach, co może, to radzi; lecz niestety! są to znowu po większéj części tylko środki ku pozbyciu się lub oszukaniu djabła, któremu wszystkie choroby przypisuje.

Józef Miączyński.

(Dokończenie.)

Jenerałowa Miączyńska, która dziś jeszcze bez rozrzewnienia o zgonie syna mówić nie może, i ciągle w nim wielkiego człowieka żałuje, za czasów cesarstwa, odzyskała znaczną część dochodów; wtéjto porze prowadziła dom dosyć znaczny, i przyjmowała wielu Polaków. Wtenczas służyła u niéj owa kobieta, któréj winniśmy poznanie się z nią. Widziałam u niéj wiele liścików z owéj epoki od Polaków i Polek znakomitych, bawiących wtedy w Paryżu, jako to od Stanisława Potockiego, od Barsa, od xiężnéj Anny Sapieżyny, od Wincentowéj Krasińskiéj i innych. Kościuszko bywał także u niéj. Skutkiem tylu zmian, zaszłych we Francyi, skutkiem podobno nierządu drugiego syna, (który z innych przyczyn jak brat, ale również odjął sobie życie), straciła bez powrotu cały majątek, i została jedynie przy 1200 fr. pensyi, którą wszystkie rządy z kolei jéj przyznają. Ten dochód mógłby jéj wystarczyć na nieco wygodniéjsze życie; ale nieboga ma dawne dłużki, i tylko połowy pensyi swoiéj jest panią. Umiarkowana w życzeniach i z dziwną filozofią zgadzająca się z losem; najwyższém szczęściem byłoby dziś dla niéj wkupienie się do jednego z zakładów paryzkich, **Sainte Perrine**, gdzie samych starców przyjmują i wszelkie im dają wygody, ale trzeba 800 fr. wkupnego. Spodziewa się otrzymania téj summy za pamiętniki swoje; nie wiem jednak czy, mimo nadzwyczajnego zdrowia, śmierć albo choroba jéj nie zaskoczy, zanim w owych dwóch serwetach uporządkować zdoła Polskę i Francyą. Gdyby żyli jeszcze w kraju bliscy a majętni krewni Józefa Miączyńskiego, godnémby było ich i imienia polskiego, ażeby co dla niéj uczynili. Niewiem jak komu, ale mnie przykro pomyśleć, że wdowa po znakomitym Polaku, osoba ośmdziesiąt czteroletnia, która tyle nieszczęść przetrwała, która znała Puławskich, Kościuszkę, w nieopalanym pokoiku, albo w izbie odźwiernego, pędzi te dni kilka, których, jakby przez zapomnienie, śmierć jéj ieszcze nie zabiera.

K. T. H.

Wyimki z Dyaryusza podróży St. Augusta na séjm do Grodna odbytéj w roku 1784.

(Dokończenie.)

U téj bramy stał magistrat, którego imieniem burmistrz tameczny całe piękną powiedziawszy mowę, prezentował Naj. panu na tacy klucze miasta. Ta tryumfalna brama, miała na sobie następujący napis: Laetitiae et filicitati publicae auctori, Stanislao Augusto, Regi Poloniae, Magno Duci Lituaniae, Carolus Dux Radzivillius. Przez drugą jeszcze tryumfalną bramę jechał Naj. pan, na któréj te pisma ś. były napisane słowa:

Attolite portas Principes et introibit rex.

Wjechawszy do miasta Naj. pan, po ulicach gęstym ludem napełnionego, gdy mijał ratusz, cały batalion piechoty garnizonowéj z sześćset ludzi złożony, stojąc w paradzie, broń prezentował. Udał się prosto Naj. pan do kościoła pojezuickiego, gdzie na cmentarzu stały hussarskie chorągwie, już dla parady, już dla dawania ognia. Wszedł do téj wspaniałéj bazyliki, grobem wspaniałym familii xiążąt Radziwiłłów sławnéj, witany i z cmentarza wprowadzony przez Imć xiędza Wodzińskiego, biskupa smoleń. pontificaliter ubranego, przy nieustannem z dział biciu i wybornéj muzyce. W pośrodku kościoła był przygotowany dla króla Imci pulpit, aksamitem suto złotem szamerowanym, okryty, z takimże pod kolana królewskie wezgłowiem. Około tego królewskiego pulpitu stali z jednéj i z drugiéj strony rycerze, w żelazne katafraktury od stóp do głowy ubrani, w ręku halabardy trzymający. Gdy Imć xiądz biskup smoleński intonował Te Deum laudamus, cały Nieświż od huku armat i ręcznéj strzelby zatrząsł się. Po odśpiewanym hymnie, miał mowę w téj bazylice do Naj. pana JX. Kantenbryk, kustosz smoleński, proboszcz tegóż nieświskiego pojezuickiego kościoła, sam niegdy Jezuita, z swych mądrych kazań w kollegiacie warszawskiéj niegdy przed dworem miewanych, dobrze Naj. panu od początku swego panowania znajomy. Przyrównywał ten orator w swéj mowie, podróż teraźniéjszą królewską, do podróży niegdy Marka Aureliusza cesarza, o którym napisano: Omnia inspicere omnibus prospicere voluit.

I na tę mowę Naj. pan (jak pierwszy w rzeczypospolitéj godnością, tak pierwszy i wymową) odpowiedzieć raczył; i wylawszy się na wyliczenie zasług familii Radziwiłłowskiéj, nie tylko żyjących, ale i popioły spoczywających w téjże bazylice Radziwiłłów, wielkiemi pochwałami, aż do łez słuchających, dziwnie uwieńczył. Wyszedłszy z kościoła, wprowadzony był król Imć z nieprzeliczoną assystencyą do zamku nieświskiego, w koło jeziorami oblanego, i jedną tylko szeroką i wspaniałą groblą z miastem złączonego. Tam u bramy podał kommendant zamkowy klucze, które Naj. pan przyjąwszy mile, zaraz je nazad oddał, a sam przy biciu po wszystkich wałach z armat, do pomienionego xiążęcego zamku około godziny drugiéj szczęśliwie wjechał. Wysiadłszy król Imć z karety, zastał swój przedpokój damami, i zgromadzoném państwem tak napełniony, że ledwo było można przejść do pokojów. Przywitawszy całą kompanią i odpocząwszy nieco w swych prawdziwie królewskich apartamentach, wyszedł do wielkiéj wspaniałéj sali, kilku tygodniami przed przyjazdem królewskim ukończonéj, gdzie na suficie malowanym al fresco był wyrażony portret Naj. pana od geniuszów cnoty i mądrości utrzymywany i koronowany; geniusz zaś Radziwiłłowski palił na ołtarzu ofiarę serc, które się w górę ku monarsze skrzydełkami wzbijały, a drugi téjże xiążęcéj familii geniusz, zbrojny i z dobytym mieczem płoszył brzydką larwę zazdrości, którą orzeł Radziwiłłowski ująwszy dziobem za włosy, precz wywłóczył. W téj sali było na kilkadziesiąt dam pierwszéj dystynkcyi, mianowicie złączonych krwią z xiążęcą familią, na których czele znajdowała się Jéjmć pani z Pociejów Tyszkiewiczowa, wojewodzina smoleńska, dama urodzeniem, cnotą, rozumem, urodą i pokrewieństwem z familią monarchy dawno i dobrze ojczyznie znajoma. Dano znak do stołu w drugiéj sali, obszernéj na kilkadziesiąt osób; inne zaś stoły, po niższych salach i pokojach zastawiono, nie licząc tych, które w kollegium pojezuickiém dla niezliczonych gości nagotowane były. Gdy spełniano zdrowie Naj. pana, odezwały się wszystkie na wałach armaty; potém Naj. pan raczył pić zdrowie ochoczego i miłego sobie gospodarza, xięcia Imci wojewody, i brata jego xięcia Imci podkomorzego litewskiego. Po obiedzie zaczął się koncert w sali wielkiéj, przez orkiestrę xiążęcą grany, i trwał więcéj godziny. Około szóstéj wieczornéj nastąpił bal, który otworzył król Imć tańcem z JP. Tyszkiewiczową, wojewodziną smoleńską, ponawiając go z kilka razy z damami familii xiążęcéj i bawił się prawie aż do godziny dziewiątéj. Za daniem znać, iż zapalona już była luminacya, wsiadł Naj. pan do otwartéj kolaski z JP. wojewodziną smoleńską, z JP. pisarzową lit., i z JP. Gener. Komorzewskim, i objeżdżał cały Nieświż ogniami rozżarzony i pałający. Ta luminacya godna była, nietylko dla monarchy, ale i od monarchy. Cały albowiem zamek, wszystkie zamkowe wały, cała jak jest długa grobla, kilkanaście ulic, z swemi wystawionemi na końcu bramami, wszystkie klasztory, kościoły i domy wszystkie ogniem, pałały i okryte były gęstemi lampami, których liczono na trzykroć stotysięcy. Za powrotem Naj. pana z oglądania téj wspaniałéj luminacyi, nastąpiła około północy wielka u kilku stołów kolacya. I tak skończył się dzień pierwszy w Nieświżu.

Rozmowy z Göthem.

Pod tym tytułem wyszło niedawno w języku niemieckim dzieło P. Eckermana, naznaczonego wydawcy pośmiertnych dzieł Göthego. P. Eckerman przez ciąg wieloletniego pobytu w Wejmarze, od 1824 do 1832, gdzie właśnie na żądanie samegoż Göthego zamieszkał, do ścisłych z nim przypuszczony stosunków, bo wydawaniem nowéj naówczas edycyi dzieł jego zajęty; widując go prawie codzień, każdą ważniejszą z nim rozmowę swoią, wszystkie szczegółowe nawet myśli, zdania, uwagi i sameż wyrażenia jego, wiernie w swoim zapisywał dzienniku. Utworzyło się z tego dwutomowe dzieło, ciekawe i ważne nietylko dla Niemców, nietylko dla młodych poetów i artystów, o których najczęściéj mowa, a którzy w niém *) prędzéj niż w uczonych estetykach, znaleść mogą nieoceniony skarb dobrych rad i ostrzeżeń, zdolnych oświecić ich talent i wywrzeć najkorzystniéjszy wpływ na jego zwrot i dążenie; lecz oraz nie mniéj powabne dla każdego myślącego człowieka, objawiające nieraz w toku poufałéj rozmowy głębokie tajnie myśli i duszy jednego z największych gieniuszów świata, który w długim ciągu ośmdziesięcioletniego życia, za pierwszy zawsze cel sobie zakładał: upatrywać we wszystkiém rzeczywistéj prawdy, i zgłębiać tajemnice ludzkości, przyrodzenia i sztuki. Rozmowy, w dziele P. Eckermana zawarte, ułożone są porządkiem dat, nie przedmiotów; nie wiążące się z sobą, ani zawisłe od siebie, każda składa osobną całość i ma swój osobny interess. Umieszczamy niektóre wyjątki, już to chcąc uczynić przyjemność czytelnikom naszym, którym dzieła wielkiego poety obcemi nie są, jużto by zwrócić uwagę na ten rodzaj pisania pamiętników o znakomitych ludziach, jakie z zawiścią w obcych literaturach widzimy, a na jakich brak w naszéj, tak nam często ubolewać przychodzi. Uprzedzamy, że wybraliśmy same krótsze i ogólniéjsze.

„Zbyt długie życie człowieka, który, jak ja, wszystkich swoich przyjaciół i współczesnych przeżyje: byłoby najboleśniéjszém dla niego nieszczęściem, gdyby go nie umiał zająć celem wyższym, lub nie miał przed sobą wspólnego wszystkim celu wieczności.

Życie ludzkie porównaćby można do letniego pobytu u wód. Przybywając, poznajemy się z tymi, którzy już tam czas niejaki bawią, i wkrótce gotują się do odjazdu. Rozpytujemy się u nich ciekawie o wszystkiém; znajomość ich jest ważną dla nas, ale nie nasza dla nich. Ztąd też nie śmiejąc prawie wymagać wzajemności, sami przywiązujemy się do nich, i pierwsze rozstawanie się z niemi, dlatego właśnie, że pierwsze jest, dla nas niewypowiedzianie bolesne; pocieszamy się jednak wprędce, łącząc się z tymi, co razem z nami, lub zaraz po nas przybyli; i z tymi żyje się najmiléj. Ale czas rozjazdu przychodzi. Kto został, czuje mniéj może żalu, bo do rozstawania się już przywykł, ale więcéj tęsknoty; widzi się obcym między nowo przybyłymi, a myśląc sam o bliskim wyjeździe, łączyć się z nimi nie ma czasu i nie chce.

Miano mię zawsze za bardzo szczęśliwego w życiu; jakoż ja sam nie narzekam na nie. A jednak w gruncie, całe to życie było tylko ciągiem trudów, walk i pracy; i mogę powiedzieć, że w ciągu tych wszystkich ośmdziesięciu lat, które przeżyłem, nie miałem czterech tygodni zupełnéj spokojności, i prawdziwego zadowolnienia.

Jedyném istotném szczęściem, były dla mnie poetyckie natchnienia i prace. Ale jakże często światowe moje położenie i okoliczności życia psuły mi je i przeszkadzały. Gdybym mógł być wolniéjszym od towarzyskich stósunków, i żyć samotniéj i na osobności, byłbym zapewne szczęśliwszym i więcejbym jako poeta mógł zrobić. Lecz zaraz po wydaniu pierwszych dzieł moich, sława, którą swemu autorowi zjednały, ściągnęła na mnie mnóstwo znajomości, zaprosin, odwiedzin, i wszelkiego rodzaju roztargnień. Doznałem na sobie smutnéj prawdy słów jednego francuzkiego mędrca, który powiedział: „Niech tylko raz zdarzy się komu zrobić coś dobrego dla świata, świat zaraz jak naumyślnie zdaje się sadzić się na to, aby nie dać mu czasu do zrobienia czegoś podobnego raz drugi.“ Z resztą, byle być pożytecznym dla kraju i dla ludzkości, gotów zawsze byłem robić to lub owo; i uważałem za jedno, czym lepił talerze, czy garnki.

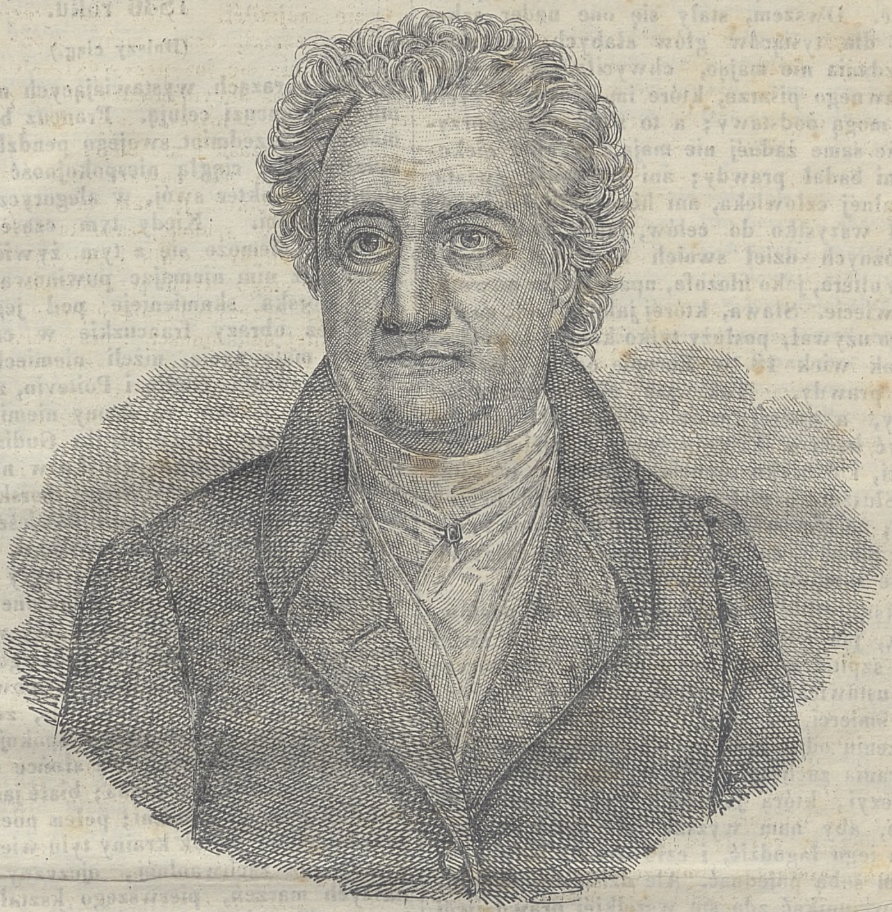
„Jeden z moich przyjaciół zwykł był powtarzać; szkoda, że myśleniejest tak trudną rzeczą.“ Ale to gorzéj, że samo, choćby najdłuższe myślenie, nie doprowadzi nas do dobréj myśli. Trzeba tak być usposobionym z natury, aby dobre myśli, jak dzieci boskie, same do nas przybiegły i zawołały: jesteśmy!

Są bardzo znakomici ludzie, a mianowicie pisarze, którzy nic naprędce zrobić nie mogą, ale muszą pierwéj rzecz każdą długo i spokojnie rozważyć; podobne talenta często nas niecierpliwią, gdyż rzadko od nich otrzymujemy to, czego chwilowo żądamy; ale też wyznać trzeba, że taka tylko droga do doskonałości prowadzi.

Mierne talenta nie czują upodobania w pracy, radziby ją co najrychléj ukończyć, aby używać owoców, jakie z niéj obiecują dla siebie. Wielki prawdziwy talent, w jakiéj bądź sztuce, kosztuje największego szczęścia w ten czas tylko, gdy tworzy.

Nieszczęście dla kraju jest, gdy nikt nie chce żyć spokojnie i używać, ale każdy tylko chce rządzić; dla sztuki zaś, gdy nikt nie cieszy się tém, co w niéj dobrego utworzyli drudzy, ale sam zaraz chce tworzyć. W poezyi naprzykład, rzadko kto w dziełach mistrzów szuka światła i siły na drodze własnego dążenia; lecz każdy

*) Gespräche mit Göthe.



Jan Wolfgang Göthe.

Urodz. 1749, † 1833.

natychmiast rwie się do naśladowania, aby sam mógł oświecać i pokrzepiać innych. *)

Brak charakteru w pisarzach i ich sędziach, jest źródłem wszystkiego złego w naszéj literaturze européjskiéj. W krytyce mianowicie brak ten najmocniéj czuć się daje i najszkodliwiéj działa; gdyż krytyk, zamiast być sumiennym strózem prawdy, sam fałsz za prawdę rozszerza, i przez to drugich w błąd wtrąca; albo też, gdy dla popisania sie z erudycyą wydziera nam wiarę w to, co chociby nie było prawdą, lepszém jest sto razy od jego błahéj, w pyle ksiąg wyszukanéj prawdy, którą on nam w zamian podaje.

Dotąd n. p. świat wierzył w bohaterskie poświęcenie się Lukrecyi, Mucyusza, Scevoli i innych; uszlachetniał się przeto, i do naśladowania zachęcał. Dziś powstaje historyczna krytyka i mówi: to nieprawda; osoby te nigdy nie żyły i są tylko utworem wielkiéj wyobraźni Rzymian; cóż nam po takiéj prawdzie? Toć jeśli Rzymianie byli tak wielcy, że mogli takie rzeczy wymyślić; nam przynajmniéj przystałoby mieć choć tyle wielkości, ażeby temu uwierzyć.

W pięknéj literaturze nie lepiéj. Tam także wielkie cele, miłość i szczera chęć upowszechnienia prawdy, są bardzo rzadkiém zjawiskiem. Nikomu nie idzie o to, aby coś pożytecznego dla kraju, dla ludzkości uczynił; ale, żeby tylko sam siebie na świeczniku postawił; nikt nie umie dla ogólnego dobra o swojéj osobistości zapomnieć. Wszystko to, czego nam braknie, było właśnie cechą pisarzów starożytnych!

Wielu z nowoczesnych pisarzy nie zbywa wprawdzie na dowcipie i wiadomościach, ale przytém są pełni próżności; i byle ich tylko gmin czytelników uwielbiał, gotowi, bez wstydu i sromu, rzecz najświętszą wyszydzić. Takim między innymi był Wolter, jakkolwiek dowcipny

*) Od dwudziestu lat publiczność w Niemczech kłóci się o to, kto jest większym poetą, ja, czy Szyller? Nie powinniżby się cieszyć, że mają dwóch takich pachołków, o których kłócić się warto.

i genialny, nic dobrego z dzieł jego nie przybyło światu; nic się na nich zbudować ani oprzeć nie może. Owszem, stały się one nader szkodliwemi dla tysiąców głów słabych, co same swego zdania nie mając, chwyciły się na ślepo zdań sławnego pisarza, które im żadnéj w życiu dać nie mogą podstawy; a to z téj ważnéj przyczyny, że same żadnéj nie mają. Wolter niekochał, ani badał prawdy; ani fizycznéj świata, ani moralnéj człowieka, ani historycznéj dziejów; nakręcał wszystko do celów, jakie sobie w pisaniu różnych dzieł swoich zamierzał. Toteż sława Woltera, jako filozofa, upadała bez powstania na świecie. Sława, któréj jako filozof, za życia swego używał, posłuży tylko kiedyś do wykazania, jak wiek 18. w Europie odbiegł był od miłości prawdy. Tak jak nowi romansiści francuzcy, a raczéj wziętość, jakiéj doznają, świadczyć będą o skażeniu gustu dzisiéjszéj publiczności, i o braku uczucia piękności w sztukach. Słusznie o nich powiedział jeden krytyk angielski, że tém właśnie zaprzątają siebie i czytelników swoich, coby każdy poczciwy człowiek sam sobie z myśli chciał wybić.

Większa część nowych europejskich poetów, piszą tak, jak gdyby sami byli chorzy, a świat był ich szpitalem. Jęczą, płaczą, złorzeczą; żalą się ustawicznie na cierpienia życia, i wzdychają do śmierci. Jeden chce przesadzić drugiego w wyrażeniu odrazy do życia; jeden drugiego do naśladowania zachęca. Jest to prawdziwe nadużycie poezyi, która jednakże na to nam tylko jest dana, aby nam wyższe cele życia okazać, cierpienia jego łagodzić, i człowieka z ludzkością i z samym sobą pojednać. Ale dzisiéjsze pokolenie poetów, unikać zda się wszelkiéj prawdziwéj siły; słabość tylko przypada im do smaku i zdaje się być poetyczną. Dla wszystkich tego rodzaju poetów wymyśliłem stósowne, jak mi się zdaje, nazwisko: poezyę ich, nazywam **poezyą szpitalną**; przeciwnie poezyi prawdziwéj chciałbym nadać imie **Tyrteuszowskiéj**; nie, żeby miała głosić same dzieła wojenne; ale że każda poezya prawdziwa, obudza w ludziach zapał do czynów szlachetnych, i dodaje im męztwa, aby w walce życia dotrwali.

Słyszymy zawsze o oryginalności, i wszyscy ubiegają się o nię. Lecz cóż to jest ta oryginalność? Od pierwszéj chwili urodzenia świat na nas działać zaczyna, i działa aż do śmierci. We wszystkiém, co wiemy, we wszystkiém, co robimy, cóż możemy istotnie nazwać naszém własnem, oprócz chyba pamięci, zapału, siły i chęci. Gdybym mógł powiedzieć wszystko, com winien moim wielkim poprzednikom i współczesnym, nie wiem, coby mnie samemu zostało. Lecz byłoby to prawie to samo, co śledzić, ile ciało nasze winne jest różnym wołom, wieprzom i baranom, których mięso jeść nam się zdarzyło. *O.

Opis wystawy sztuk pięknych w Berlinie 1836 roku.

(Dalszy ciąg.)

W obrazach wystawiających morskie przedmioty, Francuzi celują. Francuz bowiem, biorąc morze za przedmiot swojego pendzla, chce oddać burzliwość i ciągłą niespokojność jego; samego siebie, charakter swój, w alegoryczněj przedstawia postaci. Kiedy tym czasem, powolny Niemiec, niemoże się z tym żywiołem zgodzić, żadnego z nim niemając powinowactwa. Każda fala morska skamienieje pod jego pendzlem; ztąd téż obrazy francuzkie w ciszy morskiéj więcéj mają życia, niżeli niemieckie w burzy. W tym rodzaju, Gudin i Poitevin, ze strony francuzkiéj, a Krause ze strony niemieckiéj szkoły, się odznaczają. Trzy obrazy Gudina, z których pierwszy zatokę neapolitańską w nocy, drugi tę zatokę w dzień, trzeci burzę morską wystawiają, są niezrównane. Księżyc zawieszony w ciemnym błękicie włoskiego wieczoru, srebrem jego blasku lśniące się bałwany, i mgły oddalenie, są z sobą w tak wdzięcznéj połączone harmonii, że natura szukaćby mogła, zdaje się, wzoru w tym obrazie. Światło dzienne drugiego, ogrzewając cichość zatoki neapolitańskiéj, powietrze czyste i spokojne, ciemny Wezuwiusz, zdaleka czarne chmury dymu wyziewający; spokojne, płaskie i długie fale, w których się słońce czwartéj godziny z południa przegląda; białe jasne nadbrzeże z kilku jasnemi domami; pełen poezyi i prawdy przedstawiają widok krainy tylu wielkich mężów, krainy tak zachwaolnéj, ojczyzny pierwszych naszych marzeń, pierwszego kształcenia się naszego. Trzeci obraz Gudina, odznacza się równie śmiałym rzutem promienia słonecznego, który w pośród czarnych prawie chmur, na burzą kołatany okręt wpada, jak gdyby ratunku miał być posłannikiem.

Poitevin wystawiając okręt francuzki, „le vengeur“ przez trzy fregaty angielskie napastowany, połączył w swoim obrazie, żywość rozhukanego morza, z żywością i męstwem już śmierci poświęconych obrońców okrętu. Już nieprzyjaciół strzałami przeszyty okręt tonie; jednak przed swym zgonem, groźnym ostatniéj harmaty odpowiada wystrzałem. Maszt pogruchotany, pada na karki resztki zebranego wojska; ranni i opadli na siłach, już bardziéj do trupów, jak do żywych podobni; w ostatniéj łodzi, na ostrzach swych bagnetów, podnoszą w górę z głów zdjęte kapelusze; oczyma wzniesionemi w chmury, ostatnie ziemi ślą pożegnanie, wykrzykiem: „vive la republique.“

Krause, znacznie się przez wzory francuzkie odmienia, i już w ostatnim swém dziele, bardzo się był do nich przybliżył; zachowawszy tylko jeszcze za zimny koloryt przeszłych robót swoich. W jego ślady wstępuje Agricola i Szulc. Anglik Prethet środkowe między nimi zajmuje miéjsce.

Krajobrazy, malarstwa najbardziéj właściwe utwory, liczbą przewyższały wszystkie inne dzieła téj wystawy. Spokojność nieruchoma natury, ciągle w jednym kształcie istniejąca jéj postać, najbardziéj odpowiada malarstwu, które jedyną tylko postać, jeden ruch, jedyną tylko chwilkę najżywszych ruchów unieśmiertelnia. Na czele mistrzów w tym rodzaju malarstwa stoją Coignite, Böniset i Kökök. Pierwszy Francuz w krajobrazie, wystawiającym jednę z czarujących okolic włeskich, z dziwną, ale jego rodakom właściwą odwagą i mocą, zaszczepia jedność i życie tam właśnie, gdzie w zarysach pendzla prawie wszystkich użył środków, do wlania obojętności i nieporządku; dwóch rzeczy, które tak dobrze przypadkowość przyrodzenia naśladują.

Obraz Kököka wystawia zimę posępną, drzewa z liści ogołocone, lecz miękkim pokryte śniegu puchem; mdławy gdzie niegdzie przedzierający błękit nieba, pośród drobnych, mrozem ściśnionych chmurek; droga biała, świeżemi splamiona stopy, i mnóstwo innych szczegółów napawają duszę patrzących uczuciem roskoszy, które nam udziela piękna natura jakiéjkolwiek pory roku. Z tém wszystkiém, obraz ten zupełny kontrast z poprzedzającym tworzy, kontrast, który przeciwność francuzkiego i niemieckiego charakteru sztuk pięknych cechuje. Pierwszy jest pełen duchownéj przesady, drugi pełen naturalnéj prawdy; tamten w szczegółach, największéj przypadkowości podległy, zdaje się tylko trafowi być winien jedność i wdzięk, którym się odznacza; ten ani jednego prawie niema punktu, któryby nie odpowiadał całości, któryby jak najmozolniéj nie był wypracowany; tamten ma wiele fantazyi; ten naśladownictwem się odznacza; tam widać niezadowolnienie z przedmiotów natury, widać usiłowanie zmienienia ich w utwór, odpowiedni wewnętrznym uczuciom malarza; tu zaś spokojne uczucie uciechy, naiwne igranie z tém, co nas otacza, jak najdokładniéj malując się w każdym zarysie pendzla, mimowolnie naturalnym prawie instynktem wiedzionego; tam widać ogień, szał i namiętność młodzieńca, tutaj się uśmiecha naiwna, dziecinna radość z tego, co istnieje. Bakhuisen (zapewne potomek holenderskiego malarza, który w 17. wieku słynął) w obrazie, zimę także wystawiającym, znacznie się do doskonałości Kököka zbliżył.

(Koniec nastąpi.)

Wyimki.

„Jest świat wojujący i świat tryumfujący, który już „zwyciężył, a jest ku pomocy tym, którzy jeszcze wojują."

Ty żyjesz nie dopiero od chwili wcielenia,
Ale od wieków spałaś na łonie wieczności!
A więc mam cię nie z pracy, ani nie ze znoju,
Ale mam cię z boleści — z woli przeznaczenia. —
Ty nie umrzesz wraz ze mną — spać będziesz w wieczności!

* * *

Na bluszczach i powojach skronie twego czoła,
Na mchu zaś ciało twoje. — Zasnąłeś w pokoju,
Jeśli cię ukołysał duch stróża anioła. —
Bo kto na ścieżce bożéj — ach! tego sen boski,
A kto na ścieżce czarta — tego sen czartoski!

* * *

Tobie pierwszy raz we śnie pomalała siła,
Więc boleść wyższa twarz twą bezecnie skaziła;
I dziwne jakieś dzieje w rysach twojéj twarzy!
Nad okiem ścieżek dwoje — na lewo i prawo; —
Tą w prawo chodzi smutek, — w lewo myśl zbrodniarzy!

Warga spiekła gorączką, czarną, senną, krwawą,
Bo zacięta zębami. — Ty masz senne noce,
Burzliwe jako życie, — a sen bez rozumu,
Nie powściągnie języka, — boleść wybełkoce,
I wzbudzi sądy tłumu, albo litość tłumu!
Ty gardzisz ich litością, sądem twego grzechu;
Więc zaciąłeś twe wargi! Zmusiłeś do śmiechu
Usta twoje; — lecz śmiech w nich okropny i dziki,
Jakby przedrzeźnił wszystkie zbrodniarze, grzeszniki,
Którzy w ręku katowskich ratunku nie widzą!
Kiedy śmierci odegnać nie zdołają skargi,
Więc śmieją się tak samo — i ze śmierci szydzą!
Więc taki śmiech przymarł ci do zsiniałéj wargi,
Boś nim długo ze świata, z przeciwności szydził;
Odegnać ich nie mogłeś! Więceś walkę zbrzydził,
Kiedy nie sposób było podołać téj walce. —
I wszystko podeptałeś! U stóp ziemskie bogi
Tarzają czoła w prochu; — po nich dzikie głogi
I chwasty się opiekły! — Prawéj ręki palce
Oplatają rękojeść; — po niéj krew zakrzepła,
Świeża, jak ciało owe — niewystygłe z ciepła!
A lewéj ręki palce, skurczone boleśnie,
Powiadają, że myśl twa nie zadrzymała we śnie,
Choć chciałeś ją zagasić pod zmrokiem powieki —
O wierzaj! ona pójdzie za tobą na wieki!

* * *

Tak gmin rzecze — i ludzie narowami ślepi. —
Ale ja cię nie skrzywdzę zarzutem téj winy;
Nie powiem: «tyś nikczemny!» — bo ja cię znam lepiéj,
Bom ja cię wypiastował — wychował z dzieciny. —
Do snu na falach burzy ciebiem ukołysał;
Do życia podał wszystkie rozkosze i bóle,
Abyś wcześnie kwiat zwykły tego życia wyssał,
A potém stanął w sobie, jak w zaklętém kole,
I był w niém wolen pokus zbrzydzonego życia!
Abyś przesiąkł roskoszą — ztwardział na męczarnie!

Ciało twe na mych ręku od chwili powicia,
Dusza twa w mojéj duszy! .... Rozpieściłem ciało,
Duszę za dobrem chłostał, — złem puszczał bezkarnie;
Więc i ciało i dusza na wszystko ztwardziało!

Leżysz na mchu pokładach i warstwach granitu;
Pod tobą ryki głuche — i głuche milczenie,
Nad tobą nie daleko niebieskiego szczytu;
A niebo gorzkie — martwe — jako ołów śniade,
Jako żelazo rdzawe, jak twarz trupia blade;
Ty śpisz jednak! — wszak ludzie wydgali sumienie.

Wiatry, dżdże przeciągają; — i dębów szkielety
Patrzą na cię posępnie okiem wypróchniałém, —
I kruków czarna rzesza ciągnie z głuchym gwarem,
I sępów chmura ciągnie na przegniłe wety;
I ciało twe oplotły wężów śliskie zwoje,
I liżą krew zakrzepłą z ciepłéj twojéj ręki,
Ty śpisz jednak! — Patrz synu! to nauki moje,
To głosy harmonijne roskosznéj piosenki!
Ja tobie błogosławię w drodze rozpoczętéj,
Synu! bądź wielki — dumny, a będziesz —



* * *

Kiedy sny jego
Powieki sklleją,
Ja go kołysać będę nadzieją;
I ze śpiącego ducha rozkuję,
Tkanką go senną osnuję,
I pod marzenia zasłoną,
Przywiodę go na twe łono,
Z którego został poczęty!
(Śpiący blednieje.)

* * *

Ojcze! przed twym majestatem,
Upadamy wszyscy społem,
Kornémi uderzamy czołem;
Zmiłuj się, zmiłuj nad bratem!
Zmiłuj się Ojcze! zmiłuj się Panie,
Bo cóż się z nim stanie,
Jeśli ręka twego styru,
Jeśli światło twojéj gwiazdy,
Nie poświeci mu w noc jazdy,
Po burzliwém morzu życia,
Śród ciemnego błędów wiru,
W którém rzucony z powicia!
My wybrane — czyste duchy,
My pełne skruchy
Za braci naszych grzeszenia,
My przed tobą wszyscy społem
Korném uderzamy czołem;
Spuść — spuść ducha pocieszenia
Na twe dzieci! Nie gardź niemi,
O Ojcze nasz, któryś jest w niebie i na ziemi!



* * *

I dobre były dzieci — póki im kolebka,
Była światem — a rajem rodzinny zakątek;
Ale kiedy dla prochu — pyłu z pyłów zlepka,
Szczupłą stała się świata całego granica,
Kres stanął szczęściu jego, — a bólom początek;
Bo w nim ku wyższym celom odżyła tęsknica!
I zapragnął uskrzydlić myśl swą memi pióry,
I wylecieć nad siebie, — i górnemi loty
Wylecieć nad nich wszystkich — nad niebios namioty;
Aby spocząć, gdzie na tle szaty twojéj chmury,
Tysiąc się światów w tysiącu gwiazd pali!
A płynąc na wewnętrznéj czucia swego fali,
Chciał przybić do nas duchów, wybranych i czystych,
Doskonałością twoją promienistych!
Lecz myśl dumna i daleka,
O tron niepojętości twojéj skrzydło kruszy, —
I spada z niebios — i wraca w człowieka
Ale złamana, do złamanéj duszy!

— — — — — — — — — — —



Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)